

William James

Listy pożegnalne

Londyn, ul. Bolton
14 grudnia 1882 roku

Kochany Stary Ojcze,

Dwa listy – jeden od mojej Alice, który nadszedł wczoraj wieczorem, i drugi od cioci Kate do Harry’ego, który przyszedł dzisiaj – rozwiewają nieco tajemnicę, w jakiej pograżyły Twój stan wcześniejsze telegramy. I choć zawarte w listach wiadomości są o kilka dni wcześniejsze niż nowiny z telegramów, mam prawo przypuszczać, że telegramy tylko donoszą o nasileniu się symptomów opisanych w listach. Lżej mi na sercu, gdy tak myślę i nie muszę sobie wyobrażać jakiejś okropnej, nieznanej i naglej dolegliwości.

Dawno już pogodził się z przypuszczeniem, że może Cię wśród nas zabraknąć. Szczególnie w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy myśl o tym, że może cierpisz na swoją ostatnią chorobę, przestała być dojmująca. Jesteś przecież dość stary. Wyraziłeś światu swoje myśli na wiele sposobów i nie będziesz zapomniany. Co więcej, tu jesteś sam, a po drugiej stronie – miejmy nadzieję i módlmy się o to – droga, droga stara matka czeka na Ciebie. Jeśli odejdziesz, to ten krok nie będzie pozbawiony pewnej harmonii. Tylko chciałbym – jeśli wciąż zachowałeś swą zwykłą świadomość – choć raz jeszcze Ciebie zobaczyć, zanim się rozstaniemy [ojciec zmarł cztery dni później – P.F.]. Pozostaję tutaj tylko przez posłuszeństwo wobec ostatniego telegramu. Czekam na telegram od Harry’ego, który zna dokładnie stan mojego umysłu i który będzie znał Twój stan, by mi powiedział, co mam zrobić. Zanim to nastąpi, mój drogi, błogosławiony, stary Ojcze, kreślę te linie – i oby tylko dotarły one do Ciebie na czas – żeby Ci powiedzieć, jak pełne przez ostatnie dni było moje serce najbardziej czułych wspomnień i odczuć. W czeluści przeszłości, w którą zapadają bieżące

chwile oddalając się od nas, Twoja postać pozostanie dla mnie zawsze największą. Całe swoje życie umysłowe zawdzięczam Tobie i choć wielokrotnie wydawaliśmy się sobie obcy w wyrażonych myślach, jestem pewien, że nasze starania osiągną gdzieś harmonię. Nie potrafię wyrazić, jak wiele Ci zawdzięczam. Twój wpływ był tak wczesny, tak nieustanny i tak głęboki. Nie musisz się martwić o swą spuściznę literacką. Zatrószczę się o nią i dopilnuję, by Twoje słowa nie przepadły. W Paryżu słyszałem, że Milsand, którego nazwisko zapewne pamiętasz, w „Revue des Deux Mondes”, i gdzie indziej, wychwalał Twój „Sekret Swedenborga”. A Hodgeson powiedział mi, że Twoja ostatnia książka zrobiła na nim wielkie wrażenie. I to się nie zmieni. Szczególnie, jeśli urywki z Twoich rozmaitych pism zostaną ogłoszone w podobny sposób, co wypisy z Carlyle’a, Ruskina itd. Dawno już myślałem, że taki tom byłby dla Ciebie najstosowniejszym pomnikiem. A jeśli o nas chodzi – to każde z nas będzie żyć dalej na swój sposób, choć będziemy czuli w dosięgającej i nas niebawem starości brak ojcowskiego ramienia, na którym wspieraliśmy się. Jednak podtrzymywać nas będzie święta pamięć o Tobie. Stać będziemy razem i z nami stać będzie Alice. Utrzymamy tę pochodnię spadkobierców, którą nam włożyłeś w ręce. I gdy czas nadejdzie, byśmy poszli za Tobą, to może nie wszyscy, ale choćby niektórzy – jak o to się modłę – opuszczą ten padół po życiu tak pełnym, jak Twoje. Co zaś mnie się tyczy, to zdaję sobie sprawę, ile kłopotu Ci sprawiałem przy rozmaitych okazjach swoimi osobliwościami. I z pewnością lepiej zrozumiem, gdy moi chłopcy będą dorastać, jakim katuszom byłeś poddany, sprawując opiekę nad rozwojem istot tak bardzo różnych od Ciebie, za które byłeś jednak odpowiedzialny. Wspominam o tym, by Ci powiedzieć, że moje przywiązanie do Ciebie będzie zapewne bardziej żywe, a nie słabsze, w przyszłości, i że nie będzie przepętnione żalem. Natomiast o tym, co jest po drugiej stronie, i o Matce, i o naszym ewentualnym spotkaniu, nie mogę powiedzieć nic. Choć dziś czuję silniej niż kiedykolwiek, że gdyby to miało okazać się prawdą, to wszystko byłoby uratowane i usprawiedliwione. Teraz Cię żegnam ogarnięty dziwnym przekonaniem, że całe życie jest pojedynczym dniem zdolnym wydobyć z siebie zaledwie jeden ton. Tak bardzo bym chciał, by to pożegnanie było zwykłym życzeniem Ci dobrej nocy. Zatem dobranoc mój święty, stary Ojcze. I jeśli Cię już nigdy nie ujrę, to żegnaj. Z błogosławieństwem żegnaj.

Twój
William

Chocorua, N.H.
6 lipca 1891 roku

Najdroższa Alice,

[Oczywiście diagnoza lekarska może w Twoim przypadku oznaczać], jak to każdy dorosły człowiek rozumie, policzone dni. I zniknie neurastenia, neuralgia, bóle głowy, zmęczenie, palpacje i obrzydzenie, wszystko za jednym zamachem. Biorąc pod uwagę plusy i minusy, chyba łatwo pogodzisz się z tą perspektywą. Wiem, że nigdy nie cieszyło Cię życie. Zresztą mnie też; gdy dobiegam pięćdziesiątki, życie i śmierć wydają się zadziwiająco blisko splecione. Życie to tylko farsa inscenizowana przez utrudnienia, jakie napotykamy przy każdej próbie realizacji najbardziej drogich nam ideałów, które nas pociągają i wywołują w nas oddźwięk. Twoje utrudnienia wyróżniają się tylko tym, że są bardziej oczywiste niż u innych. Za to oszczędzone Ci było doświadczyć wielu form niezadowolenia z siebie i rozczarowań wynikających z wielorakich powiązań z różnymi ludźmi, co stało się na przykład moim udziałem. Twoja niezłomność, duch walki i brak sentymentalizmu są czymś wprost niepojętym na tle Twoich dolegliwości fizycznych. Gdy więc zostaniesz złuzowana, ta promieniująca na innych nieugiętość pozostanie nam w pamięci razem z niepojmowalną i tajemniczą naturą dolegliwości nerwowych, które pętały Cię przez lata. Tu kryje się wiele zagadek, z którymi nauka nie umie się uporać. Te blokady, rozszczerzone świadomości, nowe fakty stopniowo odkrywane na temat naszej organizacji, to rozszerzenie świadomości podczas transu każą mi się zwrócić w stronę wszelkiego rodzaju pogardzanych spirytystycznych i nienaukowych idei. Ojciec znalazłby dziś we mnie dużo bardziej uważnego słuchacza, bo całą tę jego filozofię trzeba traktować serio. Na jaką dziwną sprzeczność natrafia potoczny argument naukowy przeciw nieśmiertelności (ciało jest instrumentem umysłu i umysł odchodzi, gdy ciało przestaje działać), gdy musimy uznać (jak jest w przypadku nerwicy), że jakiś rodzaj diaboliczności tkwiącej w ciele uniemożliwia częściom umysłu swobodne działanie, tłumi je i oddziela murem od kontaktu ze światem, lecz ich nie zabija. Jestem pewien, że gdy to, co jest Tobą, uwolni się od ciała, przeżyjesz wybuch oswobodzenia sił i życia, które dotąd były spętane i zaćmione. Trudno mi nie myśleć, że Twe odejście wywoła wielki wstrząs w obu „światach”, i że będą one z trudem szukać nowej równowagi po tym przełomie. Każdy odczuje to drżenie, ale Ciebie czeka znacznie większa niespodzianka niż wszystkich pozostałych.

Może się wydać dziwne, że mówię tak spokojnie o Twojej śmierci [Alice zmarła pół roku później, 6 marca 1892 r. – P.F.]. Lecz zaprawdę, moja droga, mała siostrko, jeśli ktoś żywi w swej wyobraźni pewne myśli – a ja wiem, że tak jest z Tobą – to w imię czego nie wolno by ich ujawnić? Jestem pewien, że to

jest dla Ciebie najlepsze. Ile razy w ciągu minionego roku myślałem o tym, że gdy moje dni były wypełnione przez silne i rozliczne doznania i czynności, Ty swoje spędzasz niezmiennie przez długie godziny w łóżku, i te same dni Tobie przynosiły tylko powolną monotonię przemijania! Nie wyobrażasz sobie, jak Ci współczułem. Ale wkrótce i Ty nabierzesz siły. A do tego czasu bierz wszystko lekko. Znajdź sobie coś miłego w każdym dniu, jakby życie miało trwać sto lat. Przede wszystkim chroń się przed bólem cielesnym, jeśli to możliwe. Już tyle wycierpiałaś! Bierz tyle morfiny (lub innych opiatów, które Ci lepiej służą), ile Ci potrzeba, i niech Cię nie trwoży myśl, że staniesz się narkomanką. Po co istnieje opium, jeśli nie dla takich przypadków, jak Twój? Uproś pocziwą Catherine (wobec której nasz dług nigdy nie zostanie spłacony) o kilka słów do mnie każdego tygodnia, aby nasz kontakt się nie zerwał. I zegnaj do kolejnego listu.

Zawsze Cię kochający,
W.J.

(Tłumaczenie listów na podstawie: *The Philosophy of William James*, pod red. Horace M. Kallen, Random House, The Modern Library, New York 1925)